№ 27. 6. Lipca. 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski**.

Z dniem 1 Lipca zaczyna się nowy kwartał; upraszamy szan. Czytelników, jeżeli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu Tygodnika, aby przedpłatę rychło zaliczyć raczyli.

Cieszymy się nadzieją, że wzgląd na położenie narodowości usprawiedliwiło to odezwanie się do sumienia obywatelskiego ziomków naszych, aby nam byli pomocni na drodze piśmiennictwa.

Możemy się poszczycić, iż ci którzy są w stanie własną pracą wspierać pismiennictwo, z prawdziwém poświęceniem na prożby nasze odpowiedzieli. Mamy przyrzeczony udział niektórych najznakomitszych w zawodzie pięknej literatury i krytyki pisarzy krajowych, jakoto: *Leszka Dunina Borkowskiego K. Ujejskiego, Władysława Zawadzkiego, Zygmunta Kaczkowskiego* i innych. Mając związkz Krakowem i z za granicą zapewnieni jesteśmy i ztamtąd niemałej pomocy.

Spodziewamy się, że służby nasze niesione sprawie narodowej takim sposobem, iż nam nawet najostrzejszy rząd w drodze stanąć nie może, iż wytrwanie nasze w najtrudniejszém położeniu, i odwaga literacka w obec największych przeszkód, znajdzie uznanie w publiczności, i że ta naszemu obywatelskiemu poświęceniu zechce odpowiedzieć równąż gorliwością obywatelską, i zechce korzystać z ofiar które jej nawet najznakomitsi z naszych literatów w tém piśmie niosą.

Ogłaszając nową przedpłatę na kwartał trzeci lub też na półrocze i zapraszając do takowej przypominamy jeszcze, że prócz Tygodnika niema polskiego pisma, któreby z taką tanością wartość literacką łączyło.

J. Janin i M. Czajkowski.

(*M. Jełowickiego.*)

Nie dziś to powiedziano: *la critique est aisée, mais l'art est difficile;* i widno że nie dziś! Teraz bowiem, obowiązek krytyka codzień trudniejszym się staje; bo jakże sądzić o tém, czego się nierozumie? A na nieszczęście, największa liczba piszących, tak dzisiaj piszą że ich zrozumieć nie można. Do tej familji *Niezrozumiałych*, należą głównie ci nieproszeni dobrodzieje ludzkości, którzy się nami gwałtem opiekują: a ta rodzina, z dopuszczenia bożego płodzi się jak szarańcza. I co gorsza jeszcze; nietylko na własnym gruncie, lecz jak jemioła na cudzym pniu wyrasta — do każdego przyczepi się pisma — każde obwinie, zaplącze i przyrodzoną cechę mu odejmie. Któżby pomyślał, ażeby romans, ten rodzaj pisma poświęcony jedynie światłej rozrywce, miał chować także *Anguem in herba?* A tak jest przecież; o czem przebiegając różne rodzaje romansu, poniżej wspomnę.

Mówią, (to prawda), że pisma tych panów, poprawiaczów wszystkiego. — wyznań rligijnych — stosunków towarzyskich etc. — mówią że „to są romanse" A ja powiadam nie romanse lecz bajki: bo żadnym sposobem nie przystanę na to, ażeby romans za jedno liczyć się miał co bajka; i dlatego właśnie nastaję przy nazwisku *Romansu*, któremu miano *Powieść* nie odpowiada we wszystkiém.

Powieść bowiem w języku naszym ma zbyt obszerne znaczenie, a nie cechuje rodzaju pisma, którego głównym warunkiem powinna być *prawda*. Niechaj to będzie prawda historyczna czy opisowa? — niechaj się jednem tylku uczuciem zajmuje? — zawsze jest: że romansowi tyle tylko przyznamy wartości, ile w nim prawdy uznamy. Wszystkie inne warunki są tu podrzędne. Zalety lub wady stylu; — trafne lub niezręczne powiązanie wypadków, mogą tylko wpłynąć na sfolgowanie wyroku przysięgłych. — Tak lub nie, zawisło jedynie od prawdy lub nieprawdy którą pismo przesiąkło.

To zdanie moje poprę przykładem.

Pan I. Janin wydał niedawno romans, (nibyto romans) mający za tytuł: Zakonnica z Tuluzy. Gdyby nie to,

że na przeciwnym biegunie postawię ziomka naszego; gdyby nie to, że sumienne ocenienie wartości tych dwóch pisarzy, posłuży mi za dowód dopiero przytoczonego zdania; o ramocie P. J. J. wspominaćby nie warto.

Jego zakonnica pokazuje się nam w postaci panny, mężatki, wdowy, wreszcie przełożonej jakiegoś klasztoru, jakiegoś zakonu—którego nigdy nikt nie widział i o którym autor stwórca jego własny nic nam nie powiada. Wierzyć nam każe, lecz wierzyć na słowo, że ta zakonnica była nieprzebranym skarbem wszystkich cnót i wdzięków. Co do jéj wdzięków: dziwi mię bardzo, że pan J. J. który całe życie jaknajniezgrabniej naśladuje Sterna, białej kartki nie zostawił, aby na niej czytelnik własną swoję kochankę opisał. Co do cnót: za czasów jej panieństwa, dwóch się o nią starało; jeden mieszczanin Tuluzy, równie jak ona wzór cnót i wdzięków; drugi, dworzanin Ludwika XIV. zbójca, rozpustnik, i goły: pierwszy ją kocha szalenie, i ona jego; pomimo tego, zwodzi obydwóch, i obu razem odprawia; a wybiera na męża bogatego starca; ufna (dodaje autor) że go swemi wdzięki w niewolę zaprzęże. Lecz się dzieje inaczej: jegomość okłada ją kijem a ona (wzór cnoty) ostawia męża wielbionego powszechnie i robi go celem publicznej wzgardy. Po trzech latach szczęśliwego stadła, ktoś nocną porą zabija staruszka. Zabójca znika; nikt nie wie kto to prócz cnotliwej wdowy, która nawet z serca nieboszczyka wyjmuje koniec złamanej szpady i w kilka lat później rozbraja dworzanina, noszącego zawsze złomaną szpadę w pochwie. Dalej zakłada ów sławny klasztor, mianuje się ksienią; opasuje się murem. — Autor ciągle straszy jakąś tajemnicą, aż się pokazuje w końcu, że święte panny drukują. A . . co? Paszkwile.

Ta nudna baneluka, w której, na jedną kartkę powieśc jest dziesięć kartek zboczeń napchanych cytacjami z Bóg wie jakich dobytemi szpargałów, z długiemi litanjami nazwisk, bez żadnéj wywołanych potrzeby, nie mieści w sobie najmniejszéj iskry uczucia; drammat, (jużeśmy widzieli jak jest pojęty) odbywa się za sceną; o wszystkiem wiemy z opowiadania tylko; rzadko się która osoba ukaże, tylko sam autor występuje zawsze; zdaje się ciągle mówić czytelnikom: „patrzcie jaki ja mądry! jak to ja znam wszystko co się tylko działo zapanowania *jedynego krola!*”; bo tym przywilejem obdarza p. J. Janin Ludwika XIV. Dlatego ciągle plecie jak na mękach; o rozmaitych gatunkach łaski, o Bosuecie, o Molinistach, o Jansenistach, zresztą niewiedzieć o czem; ale zawsze on sam, czyli raczej nie on, bo on tu tylko *tertius interveniens;* on wypisuje co ktoś napisał; a osoby jego te w których niby odżyć miał on wiek pamiętny, te osoby milczą, i ani czasu w którym żyły, ani wartości własnej nie dowodzą niczem. Zgoła ta bazgranina, jakem wyżej powiedział, nie wartaby wspomnienia, chyba na przestrogę. Lecz jest rzecz inna: w przedmowie swojej autor oświadcza słowy Horacego „*Exegi monumentum aere perennius!*” Mijam tu chełpliwość, mijam brak zdolności, tylko badam przyczyny dla której temu karcianemu domkowi przyrzeka większą nad spiżową trwałość? . . . Oto zapowiada współczesnym „wyście wszyscy karty, ja wam pokażę jacy to byli ludzie! Ja wam ten wiek wzorowy ożywię! wskrzeszę!” Bardzo dobrze; prosimy. Ale szanowny autor zdaje się zapomniał, że: aby co żyło, potrzeba mu życia, potrzeba ducha, potrzeba uczucia i prawdy. Śmieszna zaś pretensja do erudycji, pstrokacizna wypisów niczego nie wskrzesi nie ożywi niczego, tylko biedny czytelnik zamykając książkę odchodzi z wrażeniem nudoty i niesmaku.

Przeskoczmy teraz na drugi koniec: pomówmy o Czajkowskim.

Jak się ma dzień do nocy, jak czarne do białego; takiż sam jest stosunek między francuzkim pisarzem i naszym: na czem pierwszemu braknie, to drugi posiada do zbytku; pierwszy grzeszy zarozumiałością, drugi zaniedbaniem. Z tego jedynie względu przeciwności dojrzeć się daje niejaki pomiędzy nimi stosunek; z resztą, mówiąc o jednym, w niczem już drugiego nadybać nie można.

Ktokolwiek i cokolwiek z pism Czajkowskiego czytał, ujrzał w nich koniecznie jakiś charakter odrębny: czy to w pojmowaniu całości, czy też w kreśleniu obrazów i przedstawianiu osób i wydarzeń, czy też nakoniec w mowie samej, tak poetycznej a gminnej; puszczonej wolno jak źrebie stepowe, którego ruch dziarskie i gibkie tak mu dobrze znajome. I sądząc z tego pierwszego wejrzenia, nikomu pewno nie przeszło przez głowę pisma Cz . . kłaść na jedną szalę z pismami innych pisarzów. Można je chwalić albo ganić, ale niepodobna nie przyznać, że je innym cerklem mierzyć inną wagą ważyć potrzeba jak inne. Będziemy dochodzić przyczyny tej różnicy i szukać probierczego kamienia na tę odrębną naturę. Tym czasem, nie wchodząc w ich wartość, poprzestańmy na tem: że pisma jego mają właściwe sobie piętno, niepodległe firmie żadnego domu pisarskiego.

Do czego można dagerotyp przyrównać? czy do rysunku? czy do ryciny? do akwarelli? czy do guaszu? do niczego zgoła, jest, to co jest, złe albo dobre, ale jedyne.

Otoż, każde takie zjawisko, czy to w nieobejrzanym stepie pojęć i dociekań ludzkich; czy to w rozległej, a tylu przesądami i narowami ścieśnionéj krainie uczuć: skoro tylko jest samorodne: skoro żadnej miary porównania nie ma; bierze przywiléj typu. Nie idzie zatem, aby ten od razu miał być alfą i omegą; może mu i wiele do doskonałości zabraknąć: niemniej przeto stać na czele łańcucha, któremu jak przewodnik elektryczny udzieliło wrażenia.

Takim typem autorskim, w gałęzi literackiej, nie własną wolą obranej; ale wskazanej głosem któremu oprzeć się nie mógł, jest Michał Czajkowski. Pisma jego są jak dagerotyp; mówić o nich najlepiej z tymi, którzy je znają. „Ależ, (zarzuci mi kto może); ci, co je czytali, najlepiej sami wiedzą co mają trzymać o nich."

— Nie zdaje mi się; owszem, ile razy o dziele jakiem zdarzyło mi się z drugim co je czytał rozmawiać, tyle razy doznałem: że krytyka wtedy prawdziwie korzystną, kiedy czytelnik już był wprzódy dzieło poswojemu osądził. Czy w zdaniu swojem krytyk spotka się, czy nie, ze zdaniem czytelnika, to pewna że: ze starcia się opinji, z porównywania sądów nad rzeczami już znajomemi wznieść się tylko można do utwierdzenia zasad.

Nazwałem Czajkowskiego typem; nie radbym aby mię kto o przesadę posądził: postaram się udowodnić to zdanie.

Od kiedy romans się pojawił, i po dziś dzień, jak lud Izraela, bez litości się płodzi; nigdy kształtem ani stylem podobny nie był do tego, jakim go C... utworzył. Nie myślę wtej chwili pisać historji romansu; chcę tylko ogólnym rzutem oka sprawdzić, co w różnych czasach ten rodzaj pisma odznaczało: przytém upatrzymy może stanowisko z którego autora naszego sądzić nam wypada.

Nie sięgając epoki Rolandów, Zaidy, Skuderych i la Calprenedów, wspomnę zaraz o typie, długo przez angielskich, francuzkich i niemieckich pisarzy naśladowanym. Tym typem był Rychardson; któremu niech Bóg odpuści doskonałe jego Klaryssę i Pamelę. Jak przed nim kawalerów krągłego stołu, i zaczarowanych rycerzów przepędziła scholastyczna sentymentalność i topografia *Rzeki czułości;* tak też ta znowu ustąpiła miejsce angielskiemu *home*. Tylko skrupulatność Rychardsona w opisach najdrobniejszych szczegółów domowego pożycia, (mogąca się porównać z drobiazgowém *Stubmädchen* ochędóstwem) wyrodziła się wkrótce pod piórem naśladowników w bezkonieczne *Komeraże pokojowe*, opieprzone gdzie niegdzie jakiemś zwietrzałem uczuciem. W milionie romansów tej szkoły, z którychby dziś żadnego nikt i za lekarstwo nie czytał; były niektóre dość rzetelnie malujące cierpienia duszy: to jednak pewna, że wszystkie na jedną formę odlane — że wszystkie zajęte jedną tylko cząstką towarzystwa; i tej przecież, ani ogólnych zarysów, ani nawet pojedyńczych osób całkowitego nie tłumaczyły żywota. Rozwlekłość na stronę, Richardsona romanse, były na kształt niektórych obrazów szkoły flamandzkiej; wyobrażających dokładnie całe wnętrze domu. Naśledniki jego kącik tylko z niego wybierali; i z tego względu, ba i z wielu innych, wszystkie ich prace (aż do zjawienia się wielkiego Szkocji pisarza) miały coś wspólnego z drammatem klassycznym. Pięciu jedności nie przestrzegały wprawdzie, pilnowały przecież raz przyjętego układu, i tego stylu *kancellarji miłośnej*, o który Lessing słusznie tragików francuzkich obwinia. Bohatery i konfidenty, u jednych jak u drugich, w płasko-rzeźbie niejako, z jednej tylko strony przedstawiały się oku.

Trudno do tych wzorow, którekolwiek pismo Cz... przylepić. U niego zwykle scena pod gołem niebem; zawsze ruchu pełno; gawendy mało, a czynów wiele. Rzadko on kiedy, i to nie na długo, czytelnika do ozdobnych komnat wprowadzi; a często mu się zdarzy, że od skowrónka ranniejszy, już gdzieś kłusuje po stepie o pierwszym brzasku dniowym — tylko para z ziemi wita się po dolinach, a daleko jak okiem zajrzeć, bałwanieją lasy i w zgórza. Mowa też jego nie pożyczana; nie przyjęła stępla do jednej próby redukującego, czy upiżmowanego markiza, czy przez alembik dystylowanego Turka. Osoby jego nie w sylwecie, można je obejść w około; ani w nich dojrzeć tej klassycznej sztywności, gniewającej się grzecznie, konającej z reguł. Gniew u niego słów nie obwija w bawełnę; i bohater każdy nie przestał być człowiekiem.

Powtarzam raz jeszcze, że nie piszę historji romansu, przekonany jestem, jak i każdy, który tylko pisma Cz... czytał, iż on odrębną sobie drogę utorował; szukam tylko, czyli między poprzednikami jego w piśmiennictwie nie napadł który na jedno z nim źródło natchnień.

Szczerota Goldsmita, wycieczki Sterna, przesada pani de Stael — są to obce dla niego żywioły. Za naszych czasów, dwie pokrewne sobie szkoły się zjawiły. Pierwszą z nich, uczony nas krytyk przezwał *Literaturą Szaloną;* drugą, przez grzeczność między *Niezrozumiałe* policzmy. Na czele pierwszej stoi zarozumiały, poeta, który swoję cygankę w anioła, księdza w diabła przestroił. Opiekunką drugiej jest pseudonim pisarz, wywołujący emancypację kobiet, skarzący więzy małżeńskie, sięgający nakoniec duchownej missji ogłaszania wiary. Obie te szkoły, *penes auctores sit fides*, podejmują wielką obyczajową reformę. Już im nie chodzi o opis domowego pożycia, lub salonowych komerażów; już tu nawet cały zasób namiętności podrzędną tylko gra rolę. Romans w ich ręku opanował *Jus gladii*. Zamiarem jego, *wyśledzić aż do dna zawrzodzone wnętrza towarzystwa; aby z nich wyrwać kleszczami i moxą wypalić toczące ciało Polipy!!* Nie każdy na chirurga stworzony, więc i ten rodzaj Cz.. nie przypadł.

Dotąd nie wspomiałem z umysłu o wielkiej planecie literackiej, na którą ciężąc drobniejsze Satellity, krążą po łuku zakreślonym przez nią. Walter Skott zapoznał nas ze Szkocją: — Mamże dodać zaraz? Czajkowski zapoznał nas z kozactwem! Tamten, kilkadziesiąt pokoleń ziemi swojej wskrzesił ten nam hajdamacką gorączkę podbechtanego chłopstwa; sromotę wyrodnych magnatów i rodzinną cnotę sielskiéj szlachty wyświecił. Czyliż przeto *Powieści kozackie, Wernyhora* etc. mają styczność jaką z płodami szkockiego Barda? — Nie. — Osnowa, szyk, koloryt, mowa, dramat, wszystko jest własne

Czajkowskiego, i wszystko do miary. Jeden tylko *Stefan Czarniecki* do kraju Skotta zbliża się najbardziej; lecz o tem dziele jużem osobno pisał, tu więc o niem krótką tylko uczynię wzmiankę, nakońcu. Bezstronnie mówiąc:—Autor upojony widokiem ojczystego nieba, często za jaskrawe farby zmieszał na palecie; — często za *bundiuczny* w mowie przesadził dobitnością. — Są to uszterki; lecz one nie szkodzą całości — owszem, wyraźniej pokazują źródło jego natchnień.

W istocie, dość przeczytać „*Módlmy się a bijmy*" „*Wyprawę na Carogród*" i „*o Attamanie Kunickim*" aby się z tem hulaszczem kozactwem, —jakie nam Stefan Batory urządził, a Jan Kazimierz zaprzepaścił — obeznać tak dobrze, jak gdybyśmy w tem gronie kipiącem, bogobojnem, swarliwem a posłusznem, zdziecińswa wyrośli. Czy to czajki sporządzić i po sinym Dnieprze puścić się przez Porochy; — czy kozackim fortelem przełomać strzegące łańcuchy — a potem jak stado morskiego ptastwa spaść na bogaty Carogrod; zrabować bisurmańskie seraje; zahulać z odaliskami i na korce koronne rzeczypospolitéj namierzywszy złota i srebra; tysiące jańczarek, attaganów i szabel damasceńskich do Szczebowiszczy naprowadzić z wyprawy. — Czy z kurzeniami jazdy wyruszyć pod Chocim; a śmiało, raźno, po kozacku rozegnawszy harcowników tureckich, uderzyć w sedno obozu, we krwi niewiernej się skąpać, i wozy — bogatemi naładowawszy łupy — czwanić się w przechodzie po siołach; gdzie mołodyce w ręce plaszczą, a dziewice brwiami mrugają na mołojców.

(Dokończenie nastąpi).

O śnie.

Przez Władysława Z..........

(Dokończenie.)

IV.

Minął rok cały. Było to w mieście, w jesieni. Ciemna mgła osunęła ulice. Od rana zwykły ruch był na wielkim placu. Zaciągnięto silne straże wojskowe. Przed gmachem kryminalnym wystawiono rusztowanie, lud ciekawy wyroku cisnął się bezładnie i tłumnie na około dziedzińca, wieszał się do sztachetów, przyparł aż o same podnóże rusztowania, rad zajrzeć w same oczy więźniowi, któremu miano czytać wyrok, i schwycić w nich promień duszy.

Dzień był pochmurny, ciemny i dusze widzów były posępne. Wyprowadzono więźnia. Z wysokiego balkonu przeczytano mu wyrok na długie i ciężkie więzienie. Takie więzienie wypija młodość do ostatniej kropli, świeżość myśli zatruwa do dna samego, i nikt z niego nie wraca, a przynajmniej nikt już młodzieńcem, małokto z myślą jak przedtem świeżą i potężną, w ciele złamanem cierpieniami.

A przecież w tej twarzy więźnia na rusztowaniu był promień spokoju i godności, co nie świadczyła o wewnętrznych zgryzotach sumienia, o zwierzęcej dzikości i podłości wewnątrz; i gdybyś się był wpatrzył w tę twarz spaloną cierpieniem lecz nie zgryzotą, w twarz w której zbrodni nie było acz potępienie padło na głowę, byłbyś ją poznał i przypomniał tę twarż dawniej znajomą, zbladłą i zmienioną.

Tego samego wieczora i na tej samej ulicy, w salonie policzonym do najpierwszych w stolicy, była herbata z oświeceniem, z strojami, z blaskiem, z muzyką jak zwykle. Był to wieczór najprzód arystokratyczny, a potem literacki, muzykalny, patrjotyczny, bo salon celuje we wszystkiem. Co tylko iskrę szlachetności nosi w swem wnętrzu, to wpływa w barwę jego życia, stanowi tęczową skorupę jego powierzchni. Otóż gdy wypito herbatę, gdy skończono koncert i rozsypały się pary po całym salonie pomiędzy krzewy szerokolistne i smukłe, zagraniczną wonią tchnące z ogromnych donic rozrzuconych po kątach salonu, pomiędzy ogromne zwierciadła, świecące pająki, marmurowe kolumny, alabastrowe wazy i posągi, czekając na grupować się mającą franseзę, osoby stojące na czele rozmowy salonowej zagaiły rozmowę o więźniu dzisiejszym, co miano go wywieźć na miejsce długiego więzienia, i z śrebrnym koszem najmisterniejszej, paryzkiej roboty w ręku, najpiękniejsze dwie kobiety, dwa bóstwa cnoty i patrjotyzmu posunęły się jak dwie girlandy po śliskim parkiecie salonu od koła do koła, od pary do pary aby kwestować dla więźnia; bo kwesta jest żywotną, nieodłamalną gałęzią salonowego życia. Kwesta jest cnotą salonu, jego patrjotyzmem, jego poezją jego Chrześcjaństwem. W niej zbiegła się cała treść szlachetności salonu i skrysztaliła w nieruchomą kroplę; odtąd salon świeci tą kroplą wszędzie i zawsze, i w każdej gali i w każdej potrzebie przywdziewa ją na czoło, jako jedyny i najpiękniejszy djament swojej wartości. I sypały się w ów koszyk misterny, niby sieć pajęcza zawieszona u pięknej dłoni kwestarek, brzęczące dukaty szeleszczące papiery, aż koszyk był pełny i spłacony dług salonowej szlachetności. A dalej za wszystkiemi parami przesuwającemi się po szerokim salonie, ociemniona wonnemi liściami ogromnego kwiatu, wpółzakryta marmurem, wpółprzegięta ku oknu, owieszonemu długą firanką, siedziała Hermina czarująco piękna twarzą i strojem, w rozmowie z męczyzną przegiętym ku niej. Woń wyczesanych włósów pana Feliksa mieszała się z wonią jej włosów i stroju, tchnienie z tchnieniem, ich słowa płynęły dalekie od reszty świata, niedojrzane łączyły się dłonie, a kiedy zbliżyły się kwestarki i tuż blisko śrebrny zaszeleścił koszyk, ręka pana Feliksa wsunęła zwitek złota w rękę Herminy i Hermina rzuciła go niedbale do reszty darów. To był dar ostatni, wypełniający koszyk.

Tymczasem Jenerał otoczony kołem słuchaczów, przejętych uwielbieniem tłumaczył jednę z najświeższych kwestji socjalnych, a widząc zbliżającą się kwestę usunął się z wszystkiemi do przybocznej fajczarni. Lokaj w obcisłych kamaszach i ogromnym, haftowanym sztatsklajdzie wniósł na srebnej tacy safianowy futerał. Z futerału Jenerał dobył puhar, podniósł i pokazał gościom. Na puharze w płaskorzeźbie było miasto, Wiktorja, Fama i tam dalej.

Otóż przesunął się przed naszemi oczami ustęp z życia taki codzienny i zwykły, że niczyjej nie zajmie uwagi, że go powtarzać nie warto, bo sam codziennie powtarza się przed oswojonem twem okiem, mój czytelniku. A przecież wpatrz się weń bliżej, dotknij palcem, a jak proch Herkulańskich skieletów cały rozsypie się w sen próżny i zniknie niby słup dymu rozwiewający się przed okiem. A najprzód snem tylko była piękność Herminy, anielska piękność duszy dziewiczej, uczucia ognie palące, snem podle kłamanym twarzy rumieńce, ust pocałunki, snem wszystko aż do ostatniej jałmużny. Snem Herminy wesołym z razu, coraz smutniejszym i pustym, z którego przebudziła ją dopiero perfumowana ręką Feliksa, było całe pasmo utytułowanego jej życia, drobiazgowe kobiecej duszy zachcenia, próżniaczej piersi tchnienia wszystkie. Snem wulkanicznej piękności i mocy były myśli Karola od młodu palące duszę, targające młodemi serca zachceniami, sny co długo czekają spełnienia, o skałę zawodów i rzeczywistości tłuczone, co na więzienne bagna prowadzą, aż Bóg je z czyścowych prób podejmie i swojem słońcem otoczy na jawie. Snem wreście były wszystkie ukłony dla Jenerała, szacunek dla jeneralskiej cnoty, cześć dla jego rozumu, snem jeneralska przeszłość i terazniejszość, brudnym jak jeneralska codzienna peruka, jak chaty wieśniacze po jeneralskich dobrach. Snem była bańka salonowego życia wydęta próżnością i głupstwem, a o głupich snach Jenerała o srebrnym puharze i oblężonem mieście już nawet spominać nie warto. Snem więc było na co patrzyliśmy, a co zdało się takiem zwyczajnem, rzeczywistem zdarzeniem. I z całej tej dotykalnej panoramy zachceń, zabiegów i zawodu, kobiecej próżności i podłej obłudy, młodego zapału i starej rządzy, rzeczywistością był jedynie dla Herminy pan Felix wonny i umuskany, dla Karola ciemne i długie wygnanie, dla Jenerała pastelki, które mu bardzo dobrze służyły.

Czasem w chwilach choroby, w ciężkich dniach gorączki i zesłabienia tłoczą nas sny ciężkie i duszne. Zmora padnie na pierś i dławi każde serca uderzenie; z urywanym oddechem, z przytłoczonemi siłami z tego snu męczącego nie można się zerwać i wolno odetchnąć. Z takiego snu budzi się człowiek z ustami spalonemi gorączką, z krwawemi własnych palców śladami na sercu, z żalem i goryczą w ociężałej skroni. Takiemi snami gdy uśnie społeczeństwo, gdy chorowite omroczy go ośleplenie i ciężka zmora padnie na przytłoczone serce, wtedy ciemność ogarnia widnokrąg jego myśli, sen jaszczurcze nienawiści gniazdo uściela mu w duszy, brat z bratem przy jednem ognisku, jednem wykarmieni powietrzem popatrzą na siebie dziwnie, obco, codziennego chleba z sobą nie rozłamią, krynicznej wody nie podzielą, domowe bogi rozłączą się i odwrócą od siebie oblicze. Wtedy wstaje intryga i przekupstwo i chwyta myśli sternictwo, obłuda osiada usta, prawda znika, świętość uchodzi z obcych jej siedlisk, a dzikość, a nienawiść, a nieprzebłagany upor, służalstwo i podłość trzęsie sercem świata, tłuczonem zmorami snu. I żal tego ludu z czołem jasnem i tęsknem, co radby się budzić do życia i patrzeć w słońce, żal patrzeć jak mu każą wybijać pokłony i tarzać w prochu sponiewierane ciało, i zaciskać usta stworzone do słowa Bożego, duszę do miłości Bożej stworzoną. Aż kiedyś pan ulituje się snu ciężkiego, promieniem łaski omuśnie senne powieki swojego ludu, ducha swojego tchnie w jego piersi i da mu zgodę braterską i przebudzonych wywiedzie wsłońce.

Przejrzeliśmy pasma snów różnobarwne, ich wstęgi srebrne, ich drogi mleczne snujące się po ciemnym rzeczywistości widnokręgu. Przebaczcie nam te chwil parę zabawki i wytchnienia. Nasze czoło do chmur wzwyczajone, myśl do zadumy przywykła wnet wróci do powszedniego chleba swojego, do dawnej pracy surowej i ciężkiej. Znów ciernistemi rzeczywistości drogami pójdziemy z wczorajszą cierpliwością i wznowionemi siłami do przeznaczeń ciernistych i dalekich. A jeżeli w tej ciężkiej drodze sen jaki piękny, sen wieszczbiarz od Boga wysłany przypłynie nad skronie i wypowie znużonym tajemnice piękne o przyszłości naszej i dalszych przeznaczeniach, tajemnice z Nieba świeże jak rosy wiośniane, jak deszcze majowe, takie sny przyciśniemy do serca natchniemy życiem, pochodnią rozumu, i woli niezłomnej ogniami, rozpalimy je w zorze dla całej ludzkości, i złotemi ich nićmi tkać będziemy pasmo rzeczywistości dla nowych pokoleń; nim nas ogarnie ów sen długi i nieprzespany, z którego ciemnej otchłani mało czyja gwiazda zaświeci chwałą, mało czyja pamięć rozkwitnie jak palma świeża i zielona, a po za którego krańcami, niby za straszną Izydy osłoną, spoczywa dla przerażonego świata tylko wieczna niepewność i wieczna obawa. —

O Malarzach lwowskich.

(Dokończenie.)

Oprócz malarzy wspomnianych w poprzednich numerach winniśmy zwrócić uwagę jeszcze na kilku innych mających swoje *ateliers* we Lwowie.

Do dawno znanych i wziętych malarzy należy *Jabłoński*. *Jabłoński* zajmuje się głównie malawaniem portretów. Znany jest jako portrecista w całym kraju, który prawie zarzucony jest jego pracami, tak iż mało znamy domów gdzieby się nie znajdował portret pęzla Jabłońskiego. Celują one podobieństwem chociaż niewyrównają pracom Rajchana, Szlegla lub Raczyńskiego pod względem artystycznej wartości, gdyż są tylko niewolniczem kopiowaniem natury i mają wszystkie jednakowy wapienny surowy koloryt, są to portrety regułkowe. —

Podziwiać wszelako musimy Jabłońskiego gdy pomnimy; że niebywszy nigdy za granicą nie miał sposobności zapatrywać się na wzory i arcydzieła rozlicznych mistrzów, na których się zwykle artyści nasi kształcą, że umiał swój wrodzony talent jedynie przez praktykę i długie doświadczenie do tego rozwinąć stopnia na którym dziś stoi — Jabłoński jest artystą z natury wrodzonemu talentowi, długoletniej pracy i doświadczeniu winien wszystko co umie.

O rozlicznych obrazach jego (najwięcej kościelnych mamy tylko do powiedzenia że są malowane tym samym sposobem co portrety; widać po nich że sobie przywłaszczył jedną paletę którą do wszystkich prac swoich stosuje; widać oraz to samo wielkie doświadczenie tę samę obszerną praktykę. Do twórczości i kompozycji Jabłoński nierości sobie w skromności swojej sam żadnego prawa, gdyż bierze do obrazów kościelnych za wzory najwięcej ryciny robione podług dawnych włoskich mistrzów.

Maszkowski gdyby nie był sam artystą i posiadał dostatki niejednego zamożnego obywatela w naszym kraju, byłby może najpierwszym mecenasem, największym opiekunem malarstwa. Jemu winna większa część naszej młodzieży kształcącej się za granicą początkowe nauki, zachęcenie i umysłowe wykształcenie pod w zględem malarstwa. —

On jest może jeden w kraju który celuje znawstwem i bezstronnością oraz, tym tak rzadkim między artystami darem: on może być każdemu malarzowi w każdej gałęzi malarstwa pomocnym radą i chętnie to czyni. Żałujemy że nieposiadamy tyle prac jego abyśmy go między pierwszych naszego kraju policzyć mogli. Przechodząc bowiem rozmaite losów koleje nie mógł się bezwzględnie oddawać umnictwu, pomimo tego przyniósł tę wielką przysługę krajowi że będąc przez długie lata nauczycielem, przyczynił się do obudzenia w młodzieży naszej zamiłowania do sztuk, i dał, możemy powiedzić, niejednemu znaszych młodszych i znakomitszych artystów pierwsze namaszczenie.

Tymbardziej musielibyśmy ubolewać gdybyśmy go widzieli przez prywatne stosunki i słabości zdrowia zmuszonym do opuszczenia tak pięknego zawodu. —

Morawski więcej posiada wiadomości historycznych potrzebnych do historycznego malarstwa niż artystycznego uzdolnienia i praktyki. Pomysły jego do obrazów historycznych są często bardzo dobre, jednakże wykonanie nie odpowiada niestety ani oryginalności pomysłów ani obszernym wiadomościom jego.

Gdyby który z biegłych artystów poprzerabiał obrazy Morawskiego pod względem rysunku, kolorytu i układu mielibyśmy wiele szacownych dzieł, odznączających się trafnością historyczną, i dokładną znajomością dawnych strojów i zwyczajów. W tym ostatnim względzie zasługują na uwagę:

Przeproszenie Zebrzydowskiego, gdzie nawet ugrupowanie osób jest dobre — byłby to obraz znakomitej wartości gdyby ręka Morawskiego sprostała jego pomysłom. *Morsztyn* ciągnący za sobą Tatara na sznurze za szyję. Obaj konno, koń Morsztyna w lansadach, Tatara zaś koń opierający się dalszemu pochodowi, pomysł oryginalny i historyczny chociaż nie bardzo estetyczny, jeszcze mniej powabu ma — *Konaszewicz* — ścinający Turkom głowy.

Titz niedawno osiadły we Lwowie, nieprzywiózł z sobą żadnych utworów z Francji, tu zaś za krótko bawi i nadto zajęty jest nauczaniem ażeby miał czas dać się poznać z dzieł swoich. Widzieliśmy u niego kilkanaście rozpoczętych portretów, w których pochwalić możemy usiłowanie czynienia z portretów oraz obrazy rodzajowe. Titz stara się skreślić portret wśród ruchu, przezco może mu nadać więcej życia niż mają zwykle portrety. Główną jednak zasługą jego nauka którą udziela z zamiłowaniem a nawet poświęceniem, przeco i w uczniach obudza tak mało znane u nas prawdziwie artystyczne zamiłowanie. Zresztą należy mu i to przyznać jako zasługę że uczy metodą nową, która nie zaprawia ucznia do kopjowania martwych wzorów ale zostawiając wrodzonemu usposobieniu wszelką samodzielność stawia żywą przyrodę za wzór.

Oprócz tych kilku mamy jeszcze niemało artystów, krajowców, na których wielkie można mieć nadzieje, gdy jednak jeszcześmy nie mieli sposobności poznać ich dokładnie zachowujemy sobie na inną porę sprawozdanie o nich. Teraz zaś skończywszy nasz pogląd wypada nam wynurzyć dwa życzenia.

Jedno jest aby w naszym kraju ustało raz, że się tak wyrazimy, uspienie artystycznego zmysłu i obojętność dla umnictwa. Mamy zarody wielkich talentów może nawet geniuszów w kraju, ale te muszą gnuśnieć, karłowacieć, bo mają do walczenia to z przeglądami towarzyskiemi to niedostatkiem. Drugie jest powtarzająca się przynajmniej raz co parę lat *wystawa obrazów*. Są to rzeczy nad któremi zastanowimy się bliżej mówiąc o niektórych pominionych tu malarzach.

(Dokończenie nastąpi.)

Krótki rys czynności Towarzystwa naukowéj pomocy w Krakowie.

Początek towarzystw jest niemal wszędzie jeden i ten sam, kilku ludzi podobnego sposobu myślenia, dostrzega potrzebę pracy ku temu, lub owemu celowi, udzielają sobie wzajemnie swych uwag, spostrzeżeń, a obliczywszy stosunek ogromu przedsiewzięcia do słabości sił swoich widzą, iż ich zamało.

Z Mickiewiczowskim tedy okrzykiem: Hej ramie do ramienia wywieszają swój sztandar i zwołują jednomyślących, których większa lub mniejsza liczba jest miarą pożytecznych lub szkodliwych dążności: urządzają się, przepisują sobie prawa zasadnicze i ustawy, do przestrzegania których, za pomocą powszechnych wyborów, powołują najzaufańszych z pomiędzy siebie, na organ wykonywający wolę ogółu.

Cechą albowiem wyłączną wszystkich towarzystw, choćby też pod najabsolutniejszym działających rządem, jest republikańska zasada powszechnego głosowania, i wola większości, jest niewolnicze posłuszeństwo zwierzchności, uchwałom zgromadzenia, które inaczéj nie byłoby towarzystwem, ale korporacją na wzór zakonnych bractw Lojoli, Biczowników i innych.

Po rok 1848, towarzystwa wszelkiego rodzaju były wzbronione w Austrji, i rząd z trudnością tylko na takie zezwolenia udzielał, o których działania ze względu na sposób myślenia większości członków mógł być zupełnie spokojny, i ku temu celowi starał się usilnie, aby liczba zwolenników jego pod różnemi pozorami w grona towarzystw wcisnąwszy się, przeważającą stanowiła oppozycję.

Epoka ta dopiero wprowadzając niezbędne postępowe zmiany, dozwoliła nam cieszyć się wolnością kojarzenia jednorodnych usiłowań, przez nadanie pomiędzy innemi prawa stowarzyszenia w najważniejszych dwóch celach narodowości i oświaty.

I naród nasz nie okazał się niegodnym téj swobody i owszem musiał dojrzeć do pożywania jej owoców, kiedy się tak oględnie do swiętych prac zabierał, kiedy zostawiony sam sobie, żadną nie zastraszony odpowiedzialnością, nie przeszedł granic, które istniały wprawdzie, lecz których żadna siła nie strzegła.

Nie słyszano u nas o towarzystwach mających na celu nastawanie na własność lub dobro obcych nawet niechętnych nam narodowości, nie uskarzano się na krwawo kommunistyczne zastępy, bo takie dążności były, są i będą obce naszemu charakterowi i usposobieniom, ale za to widziano posiwiałych starców, widziano dziarskich młodzieńców podających sobie dłonie, wiążących się łańcuchem jednejże myśli i głoszących ją przed światem, jawnie otwarcie i z czołem podniesioném: tą myślą była miłość powszechna, miłość prawdy i ludzkości.

Myśl ta wcielona w potęgę czynu rozwijała się jak kwiat wiosienny, ale dla tego kwiatu czasowe okoliczności stały się nagłym a niespodziewanym mrozem, który acz nie strawił korzeni przecież ściął wonny kielich i nagiął ku ziemi.

Dziś każdy członek rozproszonych towarzystw myśli jak myślał, działa jak działał nawóczas: ale myśli i działa sam niewsparty moralną i materjalną współczłonków pomocą.

Chwila letargicznej bezwładności narodów jest chwilą czynu dla historji: *et si licet in parvo exemplis grandibus uti*, dziś jest czas, aby towarzystwa kreśliły dzieje usiłowań swoich i odniesionych owoców: sumienne takie sprawozdanie stanie się wskazówką ich wartości, a kto wié, czy zarazem nie najskuteczniejszym środkiem zbudzenia ich i przywołania do życia, jeśli dłonie w których losy tegoż spoczywają poklasną odniesionym pożytkom.

Ja nie chcę atoli przez napuszoną powagę historyka prac pięciomiesięcznych początkującego grona naukowej pomocy stawać się godnym pośmiechu; jedynym celem, jaki sobie założyłem w tej mierze, jest skreślenie dobrych chęci naszych i nieszkodliwych dążności, poparcie tego obrazu najwiarogodniejszemi świadectwy, bo statutem i aktami towarzystwa, ażeby rząd i naród poznał je i ocenił, a wtedy i do dalszych prac dopomógł chętnie.

W Lipcu 1848 roku, w potocznéj rozmowie, pomiędzy czterema osobami prowadzonej, któryś z obecnych dotknął jednéj z najżywotniejszych kwestyi, reformy Izraelitów, tych braci naszych, na których ciemnotę każdy utyskuje a nikt nie wiedzie do światła. Drudzy podając rozmaite środki wzajemnie roztrzęsali ich odpowiednią stosowność, aż nareszcie wszyscy czterej zgodzili się na jedno., aby w celu zreformowania i oświecenia żydów, zawiązać towarzystwo mające na celu wspierać wszelkiemi możliwemi sposoby osiągnięcie tak pożądanego tak szczytnego kresu; a że umysł młody ledwo ujrzy metę już do niej bieży w zapędy, zredagowano natychmiast akt zawiązania i wszyscy czteréj t. j. Roman Kieress, Maurycy Krzepicki, Dr. Jonatan Warschauer, nakoniec JX Patrycyusz Wąchalski z zakonu Augustyanów podpisali go.

Ten zamiar rozpowszechniony licznych znaszedł zwolenników. Wprzeciągu paru tygodni, liczba członków już kilkudziesiąt wynosiła, i zaraz rozpoczęto czynności od urządzenia szkoły, gdzie obok historyi i języka polskiego nauki polityczne w sposób każdemu przystępny, codziennie oprócz Soboty dla żydów wykładano. Lokalu na szkołę zacny P. Antoni Kieress (Ojciec) przejęty szlachetnością skierowanych w jedno ognisko usiłowań, bezpłatnie z chęcią udzielił.

Ani trudność zwalczenia nieznajomości języka polskiego

ani ciężar mozołów nauczycielskich nie zdołały osłabić ducha założycieli, którzy sami najgorliwszem podzieleniem obowiązków pomiędzy siebie, godne naśladownictwa stawili przykłady. I tak P.P. Roman Kieress z Krzepickim zajmowali się wykładem nauk politycznych zastósowanym do ducha czasu i do potrzeb jego, wyjaśniali pytania żywotne rozwijali pojęcia konstytucyi, zasady sądów przysięgłych, urządzeń gminnych i t.p. P. Warschauer z wrodzoną sobie zdolnością uczył historyi powszechnéj wedle własnego systemu, a polskiej wedle Grzegorza z pod lipy: i umiał jasno i dobitnie skreślać swym uczniom stanowisko ich względnie narodu pośrodku którego żyją, któremu tyle są winni! Atoli powołanie lekarza zmusiło go niedługo złożyć swe posłannictwo w ręce JX. Wąchalskiego dotąd uczącego polszczyzny: dzięki staraniom którego młodzież szkolna nabywała czystej i płynnej wymowy zaniedbanego przez nią, a przecież rodzinnego języka.

Różny wiek i stopień usposobienia uczniów zwrócił uwagę kierujących na potrzebę utworzenia dwóch szkół, to jest: p o c z ą t k o w e j dla zupełnie nieoświeconych i pośredniej dla kształcących się dalej. Powołano na nauczycieli PP. Stanisława Rajskiego, Jozuego Finka, Ignacego Gumplowicza, Józefa i Rafała Schönbornów, z których dwaj ostatni jako obarczeni już trudami urzędowego nauczycielstwa, pod tym względem towarzystwu pomocnymi być nie mogli.

Dotąd cele towarzystwa ograniczały się na oświecaniu Żydów. Rozgałęzianie coraz obszerniejsze stósunków z innemi towarzystwami, korrespondencye z radami narodowemi w Galicyi, powiększona liczba członków, wszystko to nakazywało zająć się nietylko Izraelską, ale ogólną ciemnotą w tym celu przeniesiono siedzibę towarzystwa do Krakowa, pozostawiając jedynie szkołę na Kazimierzu, dla której w ratuszu salę przeznaczono.

(Dokończenie nastąpi.)

I n s e r a t y.

C. k. Towarzystwo gospodarskie galicyjskie ogłosiło było w przeszłym roku powtórny konkurs do napisania popularnej nauki leśnictwa, za którą członek czynny tegoż Towarzystwa p. Józef Zawadzki ze Szlachciniec ofiarował nagrodę 200 złr. srebr. — Termin od nadsyłania rękopismów wyznaczony był do dnia 1 maja b. r.; gdy atoli do tego czasu ledwie jedna odpowiedź nadeszła, a rzecz sama tak jest ważna dla leśnictwa w naszej prowincyi, że zbytniego pospiechu w tym względzie unikać nakazuje, przeto komitet rzeczonego Towarzystwa na posiedzeniu swojem d. 14 b. m. postanowił termin do nadsyłaniu konkursowych odpowiedzi jeszcze na pół roku a mianowicie do ostatniego listopada r. b. przedłużyć. O czem interesowani z odwołaniem się do 5. tomu rozpraw tegoż Towarzystwa (str. 195 — 196), gdzie warunki tego konkursu są wyrażone, zawiadamiają się niniejszem.

Z komitetu galic. Towarzystwa gospodarskiego.
We Lwowie, d. 15. Maja r. 1850.

W uzupełnieniu odezwy swej z dnia 15. Kwietnia b. r. Komitet nieustający c. k. Towarzystwa gospodarskiego, zawiadamia niniejszym szanownych gospodarzy, iż zapowiedziana piérwsza wystawa bydła, oraz wszelkich narzędzi rolniczych odbędzie się tu we Lwowie na targowicy wełnianej, obok ogrodu pojezuickiego, dnia 1. i następnych przyszłego miesiąca Lipca, o godzinie 10. zrana.

Względem pomieszczenia przyprowadzonego bydła, koni i owiec, tudzież na wystawę przeznaczonych narzędzi rolniczych potrzeba zgłosić się wcześnie do kancelaryi rzeczonego Towarzystwa w gmachu zakładu narodowego imienia Ossolińskich.

Z komitetu nieustającego c. k. gal. Towarzystwa gospodarskiego.
We Lwowie, dnia 13. Czerwca r. 1850.

Wezwanie literackie.

Zabierając się do pisania rzeczy o gisserstwie i gisserach polskich, uważając odlewy jako zabytki archeologiczne, rozpocząłem niniejszą pracę od zbierania opisów i wiadomości o dzwonach. — Upraszam więc szanownych obywateli i duchownych galicyjskich o łaskawe podanie mi listowe, przynajmniej następnych szczegółów. —

Gdzie?

Przy jakiem kościele są dzwony?

Jakie ich rozmiary?

Jakie ozdoby?

Jakie o nich gminne lub historyczne podania?

A co najważniejsza:

Jakie na nich napisy.

Imiona łaskawych osób udzielających mi gruntownych wiadomości z wdzięcznością wymienię, a mniemam, że tak o dzwonach jako też o innych zabytkach giserskich szczegóły podanemi mieć będę. —

Materyały do tej pracy z obwodu krakowskiego — sandeckiego i okolic Kalwaryi już mam zebrane. —

Adres mój: Józef Łepkowski, Kraków, ulica Floryańska No. 548.

Upraszam inne redakcye o łaskawe powtórzenie w swych pismach niniejszej odezwy. —

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej E. Winiarza we Lwowie przy ulicy krakowskiej pod l. 77.